Cena 1 zł.

JEDNODNIÓWKA



GMACH SZKOŁY BUDOWY MASZYN

PAMIĄTKOWA

Z OKAZJI PROPAGANDOWEJ WYSTAWY SZKOLNICTWA ZAWODOWEGO

WYDANA STARANIEM BRATNIEJ POMOCY UCZNIÓW PAŃSTWOWEJ SZKOŁY BUDOWY MASZYN W GRUDZIADZU

GRUDZIĄDZ, W CZERWCU 1925 R.

„GŁOS WĄBRZESKI" (B. SZCZUKA) WĄBRZEŹNO.

ILUSTROWANA

JEDNODNIÓWKA

PAMIĄTKOWA

WYDANA STARANIEM BRATNIEJ POMOCY UCZNIÓW PANSTW. SZKOŁY BUDOWY MASZYN W GRUDZIĄDZU Z OKAZJI PROPAGANDOWEJ WYSTAWY SZKOLNICTWA ZAWODOWEGO POD REDAKCJĄ PRZEWODN. BRATN. POMOCY MIROSŁAWA KITSZEL

1925

POMORSKIE

Zakłady Ceramiczne Tow. Akc.

dawniej Max Falk & Co.

w GRUDZIĄDZU

Adres telegr: „POZACERAM“. Telefon: NR. 46 i 446.

Cegielnia Mechaniczna - Fabryka dachówek

wyrabiają naturalno czerwonego koloru dachówkę, jak:

karpiową,

żłobiową,

rzymską

i holenderską z falcami

oraz pierwszorzędną czerwoną cegłę maszynową, licówkę, dziurawkę i kominówkę w różnych formatach.

Roczna produkcja: 15 000 000 sztuk.

Zamiast przedmowy.

Państwowa Szkoła Budowy Maszyn w Grudziądzu należała za czasów niemieckich tak, jak i obecnie, do t. zw. szkół zawodowych.

Warunkiem przyjęcia do tej szkoły było ukończenie z dobrym postępem szkoły powszechnej i conajmniej trzyletnia praktyka zawodowa.

Nauka trwała w szkole dwa lata.

Założona została Szkoła Grudziądzka w r. 1907. Przez 6 lat mieściła się w centrum miasta, w zupełnie nieodpowiednim budynku. W roku 1913 przeniesiona została do nowożytnie urządzonego gmachu, znajdującego się przy zbiegu ulicy Radzyńskiej i Rzezalnianej.

W roku szkolnym 1907—1908 był czynny jeden oddział z 9 uczniami, w roku 1908—9 dwa oddziały z 21 uczniami, w roku 1909—10 trzy oddziały z 51 uczniami, w roku 1910—11 cztery oddziały z 7' uczniami, w roku 1911—12 cztery oddziały z 72 uczniami, w r. 1913—14 cztery oddziały z 94 uczniami, w r. 1917—18 2 oddziały z 14 uczniami, w roku 1918—19 trzy oddziały z 42 uczniami.

Personel szkoły składał się z dyrektora, 7 nauczycieli, werkmistrza, woźnego, mechanika, oraz maszynisty.

Dnia 31 lipca 1919 roku opuściło Szkołę grono nauczycielskie i uczniowie niemieccy.

Istniała więc szkoła pod panowaniem niemieckiem 12 i pół lat.

1-go sierpnia 1919 roku szkoła zupełnie opustoszała.

W roku 1920, z powodu wypadków wojennych, zajęty został gmach szkolny na szpital wojskowy.

Gdy przybyłem do Grudziądza 11 września 1920 roku, w szkole zastałem jeszcze wojsko. Dopiero 15-go października szpital opuścił budynki szkolne, co umożliwiło rozpoczęcie prac, związanych z uruchomieniem Polskiej Szkoły Budowy Maszyn.

Na wniosek Dyrekcji, Ministerstwo b. Dzielnicy Pruskiej zgodziło się na utworzenie dwóch oddziałów: jednego o kursie dwuletnim z programem takim samym, jaki Szkoła posiadała za czasów niemieckich, oraz drugiego o kursie trzyletnim, z programem, zbliżonym do programów t. zw. szkół przemysłowych w Austrji, Czechach, Szwajcarji itd., do których przyjmuje się kandydatów z ukończoną czwartą klasą gimnazjum, lecz za to bez praktyki przedszkolnej. (Ten ostatni oddział został w dniu 1 września 1923 roku przekształcony na oddział o kursie czteroletnim.)

Wobec niemożności uruchomienia odrazu obydwu oddziałów, otwarto w dniu 3 listopada trzymiesięczny kurs przygotowawczy.

W dniu więc 3 listopada 1920 roku rozpoczęła Szkoła Budowy Maszyn w Grudziądzu, jako szkoła polska, swą działalność.

Nauka rozpoczęła się nabożeństwem, które celebrował ks. prof. Paweł Czablewski.

Grono nauczycielskie składało się początkowo z samych nauczycieli dochodzących, a mianowicie: ks. prof. Pawła Czablewskiego, p. Jana Kurtza, p. Aleksandra Jurkiewicza, p. inż. Michała Grabowskiego i p. inż. Stanisława Szepetysa.

Dnia 1 lutego 1921 roku otwarto pierwszą klasę oddziału o kursie 2-letnim z 7 uczniami i pierwszą klasę oddziału o kursie 3-letnim z 35 uczniami. Razem więc miała szkoła z początku 42 uczniów, która to liczba wzrosła w roku 1921—22 do 72, w roku 1922—23 do 109, w roku 1923—24 do 127, a wreszcie w roku 1924—25 do 139 uczniów. Pozatem odbyły się w szkole różne kursy specjalne, a mianowicie: 1 kurs rysunków zawodowych, 4 kursy dokształcające dla pracowników przemysłu metalowego, 2 kursy dla elektromonterów i pracowników przemysłu elektrotechnicznego, oraz 1 kurs dla palaczy i maszynistów, z których korzystało razem przeszło 200 osób.

Personel nauczycielski szkoły również wzrósł znacznie w czasie niespełna pięcioletniego istnienia szkoły. Obecnie składa się on z 6 nauczycieli stałych, 11 dochodzących, 4 instruktorów i 1 asystenta.

Szkoła Grudziądzka początkowo, jak każda instytucja, borykać się musiała z dużemi trudnościami.

Do tego przyczyniły się także w znacznej mierze trudności, spowodowane stosunkami powojennemi, jak: brak mieszkań dla personelu szkolnego i uczniów, trudność w pozyskaniu sił nauczycielskich, niedostateczne przygotowanie kandydatów, zgłaszających się do szkoły, trudności natury gospodarczej, związane ze stałym spadkiem waluty itd.

Dzięki jednak życzliwości Rządu, sfer społecznych miasta Grudziądza, Rady Opiekuńczej Szkoły, oraz ofiarnej pracy jej Grona Nauczycielskiego, udało się pokonać wszyst-

kie te trudności. Dzisiaj rozwój normalny szkoły jest zapewniony. Jest więc wszelka nadzieja, że do szkoły, która już obecnie liczy więcej uczniów, niż za czasów niemieckich, będzie się garnęło coraz więcej młodzieży, i to młodzieży, posiadającej prawdziwe zamiłowanie do zawodu technicznego. Należy bowiem sobie zdać sprawę z tego, że, aby sprostać zadaniom, jakie w dzisiejszych czasach życie stawia polskiemu technikowi, konieczne jest wyzyskanie każdej chwili pobytu w szkole, a do takiego wysiłku zdolny być może tylko uczeń, kochający zawód, który sobie obrał.

Szkoła Budowy Maszyn w Grudziądzu posiada wspaniałe gmachy, oraz takie pracownie, pomoce naukowe i zbiory, jakiemi rzadko która uczelnia może się poszczycić; znajduje się pod opieką Ministerstwa, które dokładnie zdaje sobie sprawę z potrzeb jedynej szkoły technicznej na Pomorzu, oraz dostarcza jej wszystkiego co potrzeba; ma Radę Opiekuńczą, szczerze interesującą się szkołą i bacznie śledzącą jej rozwój; posiada Towarzystwo Przyjaciół Uczniów, dbające według możności o dobro młodzieży szkoły; znajduje się w mieście o rozwiniętym przemyśle, w mieście, którego Rada Miejska okazała prawdziwe zrozumienie potrzeb szkoły, przeznaczając na jej rozbudowę obszerny plac, graniczący z obecnymi gruntami szkoły; posiada grono nauczycielskie, które dokłada wszelkich sił, aby podołać swym zadaniom; wreszcie młodzież, pomną obowiązku, ciążącego na każdym Polaku i oddającą się pracy z całą sumiennością.

Sądzę więc, że nie będę optymistą, twierdząc, iż szkoła ma wszelkie widoki stania się, jeśli nie odrazu, to z czasem wzorową uczelnią techniczną, nie ustępującą w niczem podobnym zagranicznym zakładom naukowym.

Inż. Edward Herzberg
dyrektor.

Grono Nauczycielskie Państwowej Szkoły Budowy Maszyn w Grudziądzu.

P. dyr. inż. Edward Herzberg,
p. inż. Zygmunt Boberski,
ks. Paweł Czablewski,
p. inż. Michał Grabowski,
p. dr. Jan Josse,
p. Aleksander Jurkiewicz,
p. Leon Kotyrba,
p. Wiesław Malinowski,
p. Stanisław Markiewicz,
p. inż. Władysław Markowicz,
p. inż. Emil Mazurski,
p. Józef Niemiec,
p. Stanisław Piwowarczyk,
p. inż. Wincenty Święcicki,
p inż. Kazimierz Szawłowski,
p. inż. Erazm Trawiński,
p. Konrad Wojanowski,
p. inż. Stanisław Zaliński.

Rada Opiekuńcza P. S. B. M.

P. inż. Janusz Czarliński, generalny dyrektor fabryk „Unia", przewodniczący Rady Opiekuńczej.

Członkowie:

p. inż. Stanisław Ambrożewicz, dyrektor Polskiego Towarzystwa Elektrycznego.
p. inż. Augustyn Dolatowski, dyrektor Elektrowni Miejskiej,
p. Władysław Grobelny, prezes Izby Rzemieślniczej,
p. inż. Zbigniew Jagodziński, dyr. fabryki Herzfeld i Victorius,
p. inż. Edward Herzberg, dyrektor Szkoły Budowy Maszyn,
p. Leon Ossowski, starosta powiatu grudziądzkiego,
p. Józef Włodek, prezydent miasta Grudziądza.

Zarząd Towarzystwa Przyjaciół Uczniów Szkoły Budowy Maszyn.

Przewodniczący: p. starosta Leon Ossowski.
Zastępca Przewodn. p. dyr. Janusz Czarliński.
Sekretarz: p. inż. Stanisław Zaliński.
Skarbnik: p. dyrektor Sądu Okręgowego Mieczysław Łachecki.

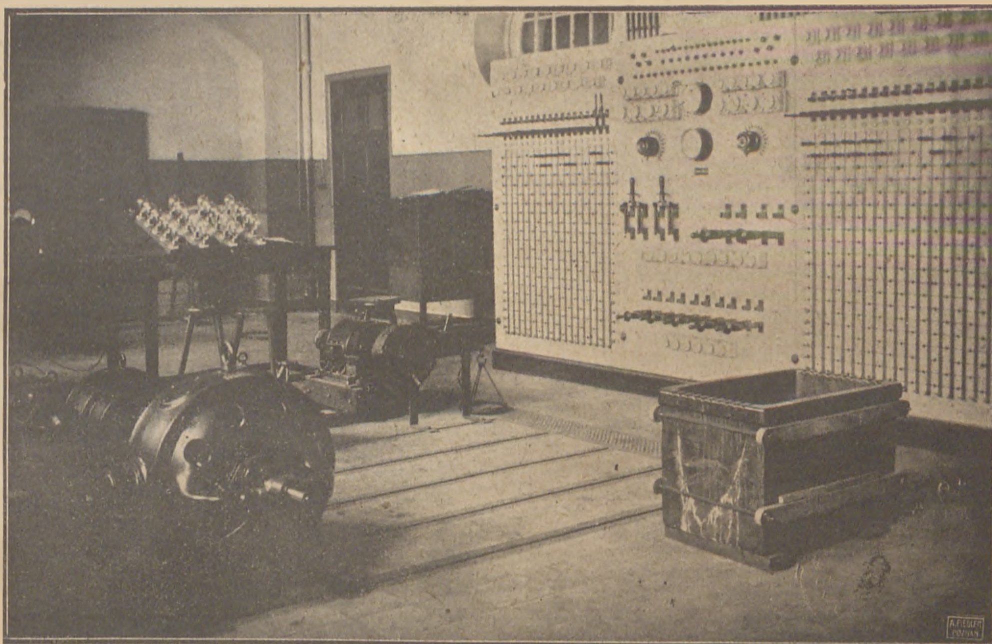
Członkowie Zarządu:

p. inż. Wanda Boberska, p. Janina Jastrzębska, p. dr. Teodora Majowa, p. inż. Edward Herzberg i p. inż. Emil Mazurski.

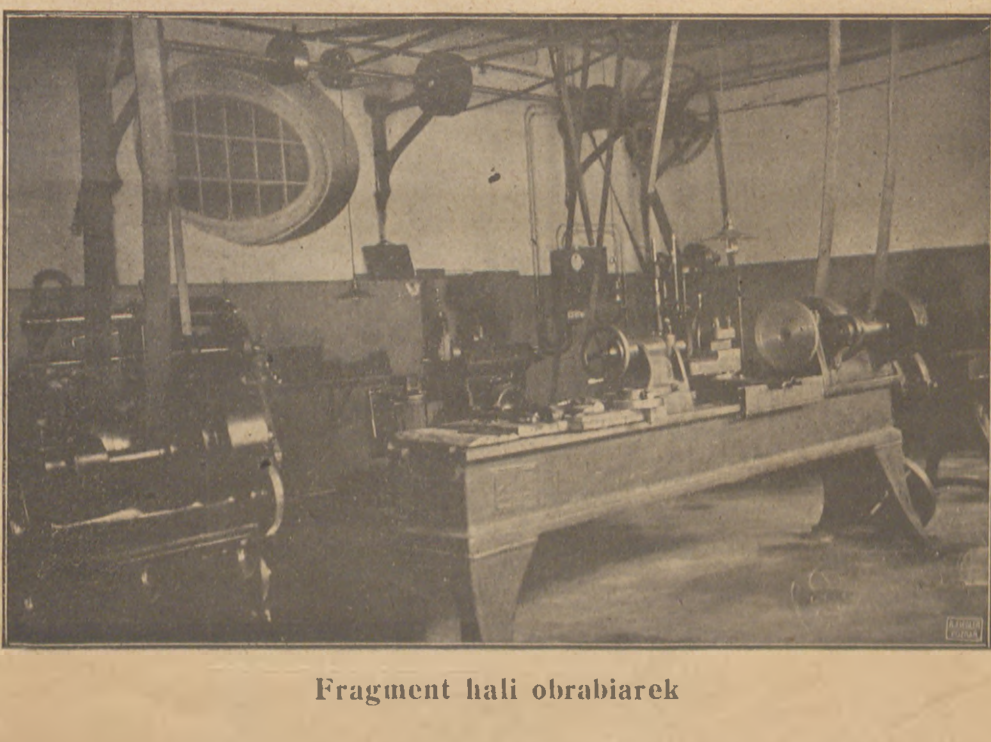
Urządzenia szkolne.

Szkoła posiada sal rysunkowo - wykładowych po trzy na pierwszem i drugiem piętrze, jakoteż jedną do wykładów fizyki, elektrotechniki i chemji na parterze. Dalej szkoła posiada dwie salki dla ćwiczeń z fizyki na pierwszem piętrze, które dopiero w tym roku zostały urządzone.

Laboratorjum elektrotechniczne obejmuje 2 sale ćwiczeń: jedną na parterze, drugą w suterenach, połączone oddzielnemi schodami. Laboratorjum to zaopatrzone jest w prądnice i silniki dla prądu stałego i zmiennego, oraz mały transformator i tablice rozdzielcze, dostosowane do ćwiczeń. Laboratorjum na parterze połączone jest ze zbiorami przyrządów elektrotechnicznych i elektrofizycznych.



Fragment laboratorjum elektrotechnicznego z tablicą rozdzielczą



Fragment hali obrabiarek

Zbiory części maszyn, umieszczone na pier-

wszem piętrze, są zaopatrzone bardzo obficie w różne części, począwszy od najprostszych elementów, do cylindrów silników. Zbiory te obejmują również modele drewniane, potrzebne do geometrji wykreślnej i rysunków technicznych.

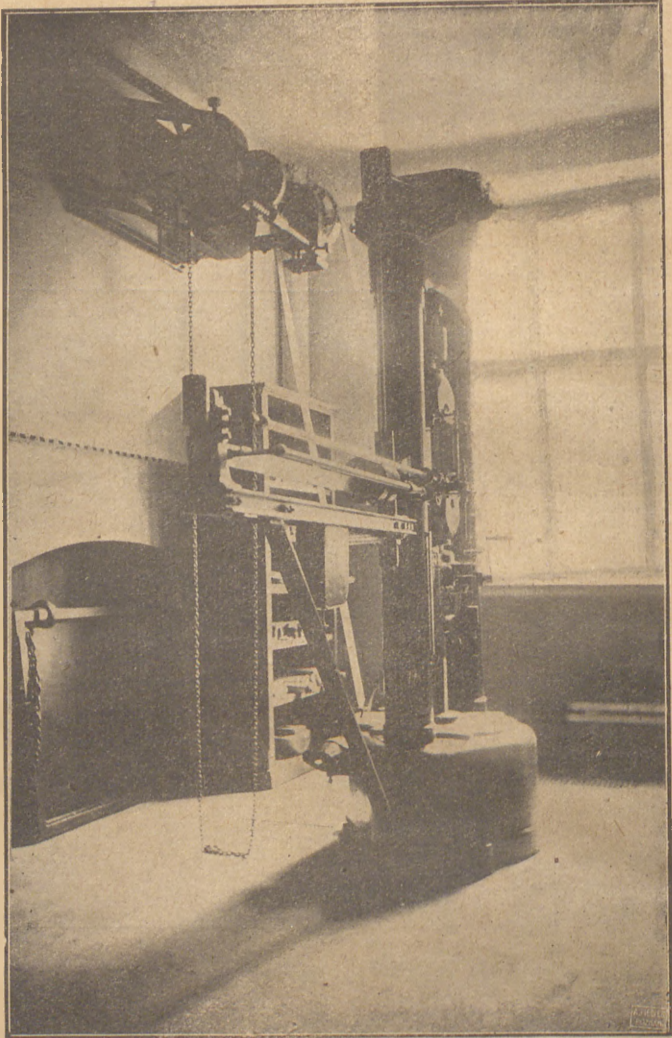
Zbiory do nauki o kotłach, pompach, dźwignicach, oraz o silnikach wodnych i cieplikowych, obejmują poszczególne maszyny w naturalnej wielkości, a także modele. Zbiory te znajdują się na drugiem piętrze.

Również na drugiem piętrze znajdują się zbiory technologiczne, które zawierają rudy, surowce żelaza, topniki, wyroby z żelaza, próby z żelaza i stali, narzędzia i przyrządy do obrabiarek, przyrządy miernicze, zbiory, przedstawiające fabrykację rur itd.

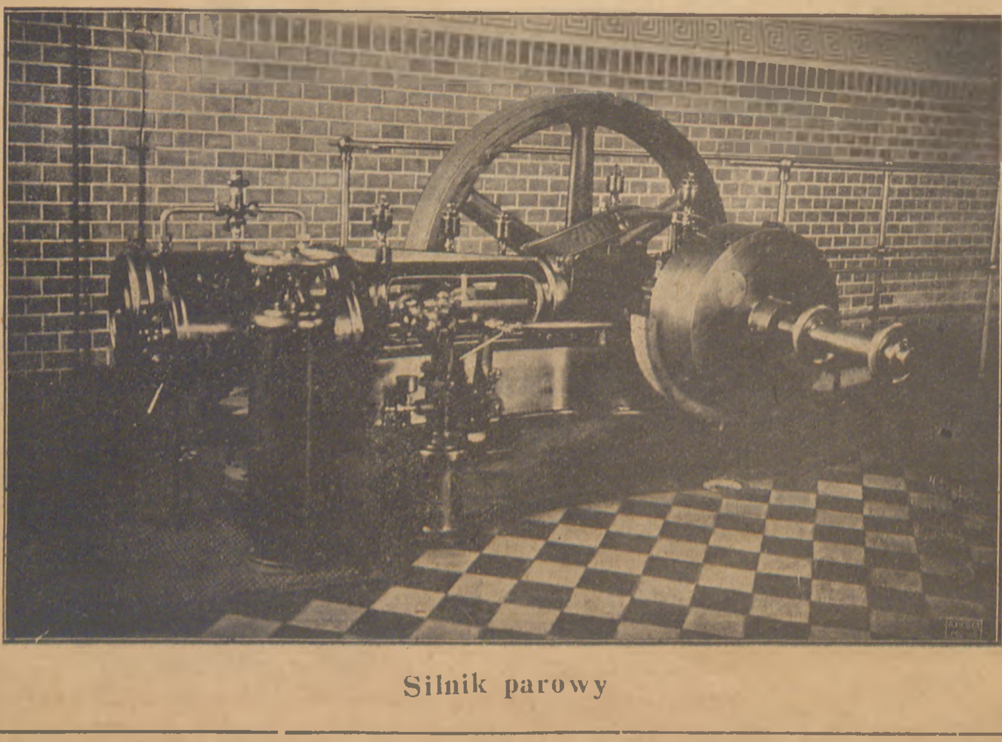
W suterenach głównego gmachu znajduje się maszyna do badania wytrzymałości materjałów na rozrywanie, zgniecenie, zgięcie i ścięcie, o mocy 50.000 kg. Osobny silnik elektryczny służy do wprawiania w ruch tej maszyny.

Warsztaty, znajdujące się w suterenach, składają się ze ślusarni, stolarni modelowej i hali obrabiarek, pędzonych zapomocą silnika elektycznego.

W suterenach znajdują się pozatem 3 kotły niskoprężne o powierzchni ogrzewalnej 30 m², przeznaczone do ogrzewania budynku szkolnego i zabudowań centrali maszynowej i elektrycznej.



Maszyna do badania wytrzymałości materjałów



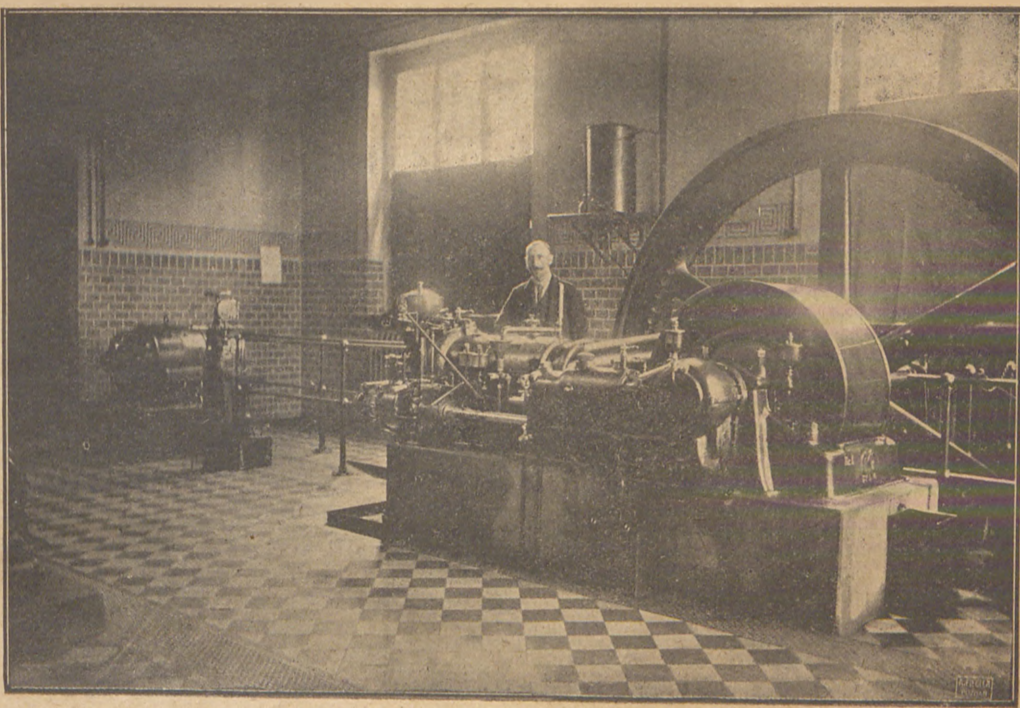
Silnik parowy

Centrala maszynowa i elektryczna, znajdująca się w oddzielnym budynku, obejmuje kotłownię z przylegającą do niej węglarką, halą maszyn, magazynem i warsztatem, tymczasowo używanym jako kuźnia.

W kotłowni ustawiony jest kociołopowierzchni ogrzewalnej 22,33 m², zbudowany dla ciśnienia roboczego 8 atm., z przyrządami zasilającemi.

Kocioł posiada wszelkie urządzenia, potrzebne do przeprowadzania badań i zestawiania bilansu cieplnego.

W hali maszyn znajduje się silnik parowy o mocy 25KM, z urządzeniem,umożliwiającem zmianę liczby obrotów, i silnik leżący Diesla o mocy 25 KM. Z każdym z silników połączona jest prądnica Obie prądnice służą do ładowania akumulatorow o pojemności 270 amperogodzin.



Silnik Diesla leżący

Centrala maszynowa i elektryczna przez pewien czas dostarczała prądu zarówno do oświetlenia gmachów szkolnych jak i napędu transmisji w warsztatach szkolnych. Wobec rozwoju i rozbudowy szkoły, będzie prawdopodobnie w przyszłości służyła tylko do pędzenia kilku silników elektrycznych, przeważnie zaś do ćwiczeń uczniów i do celów laboratoryjnych.

M.

Bratnia Pomoc.

Stowarzyszenie „Bratniej Pomocy Uczniów Państwowej Szkoły Budowy Maszyn w Grudziądzu“, jest takim samym związkiem, jak i inne stowarzyszenia tego typu. Celem Stowarzyszenia jest wyłącznie niesienie wzajemnej pomocy materjalnej i naukowej członkom Stowarzyszenia, przestrzeganie etyki wśród uczniów Szkoły, oraz rozwój współżycia koleżeńskiego. Wszelkie inne cele, a w szczególności cele polityczne, są wyłączone.

Opiekę i nadzór nad Stowarzyszeniem wykonuje Dyrektor Szkoły osobiście i przez wyznaczonego przez siebie z pośród nauczycieli Opiekuna Stowarzyszenia.

Myśl założenia Bratniej Pomocy podał p. dyrektor Herzberg, który, widząc biedę i niezaradność niektórych uczniów, uznał, iż podobne stowarzyszenie w naszej Szkole jest niezbędne.

W dniu 12 listopada 1921 r. zwołał p. dyrektor „walne zebranie“ uczniów, na którem wybrano na przewodniczącego „Bratniej Pomocy“ ks. prof. Łukaszkiewicza, jego zastępcę, oraz zarząd, składający się z:

sekretarza zarządu i jego zastępcy,
skarbnika, prowadzącego sklepiki,
bibljotekarza.

Stowaszyszenie statutu jeszcze nie miało; dopiero został ułożony podczas wakacji przez dyrektora.

Statut ten nic nie różni się od statutów innych stowarzyszeń, chyba tylko tem, że wszystkie urzędy sprawuje się honorowo.

Uczniowie zabrali się z zapałem do pracy. Zarząd miał do dyspozycji 61.783 mkp.

Założono przedewszystkiem sklepik dla ułatwienia kolegom tańszego zakupu, dzięki hurtowym zakupom materjałów piśmiennych i t. p. bezpośrednio u wytwórców; zwrócono się z prośbą do pp. profesorów i kolegów o zaofiarowanie książek i tym sposobem powstała bibljoteka „Bratniej Pomocy“, coprawda bardzo szczupła, ale na początek wystarczająca.

Dalszem udogodnieniem było założenie herbaciarni, z której członkowie mogli korzystać.

W drugim roku istnienia stowarzyszenia, na walnem zebraniu w dniu 20 września 1922 r. wybrano przewodniczącym zarządu kolegę W. Gutowskiego, który wraz z nowowybranym zarządem kontynuował pracę, rozpoczętą przez poprzedni zarząd. Wzmocniono kapitał przez urządzenie koncertu, z którego dochód wyniósł około 150.000 mkp. Był to wielki sukces stowarzyszenia.

Otworzono konto w B-ku Zw. Sp. Zarobkowych w Grudziądzu i od tego czasu pieniądze wnoszono na rachunek bieżący.

Wskutek interwencji zarządu uczniowie otrzymali 50% zniżki na wszystkich miejscach w Teatrze Pomorskim. Członkowie „Bratniej Pomocy“, mogli w każdej chwili wypożyczać z kasy „Bratniaka“ pewne sumy, które zwr - cali z dobrowolnym procentem.

Ten rok zamknięto następującym bilansem:

Stan czynny

1) Kasa	1.913	mkp.
2) Dłużn. i wierz.	24.100	„
3) Towary	29.763.500	„
4) Banki	25 000	„
5) Ruchomości	1.001.500	„
Razem	30.815.513	mkp.

Stan bierny

1) Kaucje	40.200	mkp.
2) Kapitał zakł.	61.783	„
3) Czysty zysk	30.713.530	„
Razem	30.815.513	mkp.

Na zebraniu przy końcu roku szk. 1922|23 wybrano przewodniczącym na rok 1923|24 kol. Weitmana.

W karnawale urządzono w gmachu szkolnym „raut“, który poparło społeczeństwo grudziądzkie, oraz sfery przemysłowe i kupieckie. Udał się znakomicie i przyniósł przeszło 500.000 mkp. dochodu.

W następnym roku przewodniczącym został obrany kol. K. Piekielny, pod którego kierownictwem wzmożono działalność Stowarzyszenia, sprowadzając hurtownie papier rysunkowy, zeszyty, cyrkle itp. przybory szkolne.

W karnawale, dorocznym już teraz zwyczajem, urządzono „koncert raut“, który zaszczyciło swą obecnością bardzo wiele osobistości, jak p. Prezydent miasta, p. Starosta, jeneralicja, oraz kierownicy instytucyj społecznych, przemysłowych i handlowych. Zysk z rautu wyniósł przeszło 1.000 zł.

W dniu 21 marca 1925 r. odbyło się walne zebranie członków „Bratniej Pomocy“, na którem p. dyrektor nadał, zamiast poprzedniego statutu, nowy, opracowany przez Ministerstwo W. R. i O. P.

W bieżącym roku został wybrany przewodniczącym kolega Kitszel, który za-

jął się reorganizacją bibljoteki, założeniem sądu koleżeńskiego i organizacją kół sportowych. Między sferami przemysłowemi i kupiectwem widać zainteresowanie naszą instytucją i pewne poparcie materjalne. A więc wszystkim tym, którzy rozumieją nasze dażenia i potrzeby i starają się nam w jakichkolwiek sposób dopomóc, przesyłamy tą drogą serdeczne staropolskie „Bóg zapłać".

Zarząd Bratniej Pomocy.

Swiat i łzy.

Śmiej się, choćby ci serce pęknąć miało,
Śmiej się, choćbyś stracił swój najdroższy świat,
Po drodze życia idź wciąż naprzód śmiało,
Żyj wciąż z uśmiechem, bo tego chce świat.
Śmiej się... to łatwo powiedzieć,
Ale nie zawsze wykonać się da,
Bo choćbyś chciał losowi śmiechem odpowiedzieć,
To jednak w oczach twoich zakręci się łza,
Nie ta łza czysta, nie ta łza radości,
Którą wyciska nam szczęśliwy los,
Nie ta łza szczęścia w minionej młodości,
Ale łzy gorzkie, które zadał cios.
I będziesz płakać wtedy, jako dziecię,
I nad swym losem gorzko będziesz łkał,
Pomimo tego (tak już jest na świecie),
Pomimo twego bólu, świat się będzie śmiał.
Więc poco mają szydzić z ciebie ludzie
I z twego bólu cieszyć się i śmiać,
Twoje uczucia święte walać w brudzie,
I w twoje serce gorycz tylko lać.
Poco to, lepiej cierp w ukryciu
Przed ludźmi, zawsze twarz promienną miej,
Czyń tak, jak czynią wszyscy ludzie w życiu,
Ból stłumij w sobie, przed światem się śmiej.

S. Zalewski.

W przeddzień wakacji.

Rok szkolny dobiega końca. W szkole daje się zauważyć niecodzienne jakieś ożywienie. Wakacyjny ruch i swoboda zdążyły już przeniknąć przez mury szkolne i tutaj ku wielkiemu zgorszeniu profesorów zaraziły jakąś dziwną nieuwagą i roztargnieniem poprawnych dotychczas „słuchaczy", którzy pod magicznym wpływem roześmianego, słonecznego poranka czerwcowego zdają się być raczej słuchaczami głosów natury i pokusy cudnego lata, szemrzącą, melodyjną falą wpadającej przez otwarte okna sali wykładowej z pobliskiego parku i ulicy.

I w atmosferze sinusów, logarytmów i różniczek, na tle kombinacji i warjacji, kratownic, kotłów i innych płodów matematyki i nauk ścisłych, rysuje się w duszy ucznia, spragnionego odpoczynku po dziesięciomiesięcznej intensywnej pracy, pogodny obrazek domu rodzinnego, okolonego poważnemi, wiekowemi lipami, szumiącemi pieśń lat minionych. Cienisty sad, brzemienny złotem wybornych grusz i jabłek, mieniący się fioletem śliw i pełen różnych owoców, lecz nie zakazanych, zda się umyślnie nęci i wabi do swego wnętrza. Doskonałem uzupełnieniem i obramowaniem tego sielskiego obrazu jest widniejąca w głębi sina wstęga prastarego, dziewiczego prawie lasu, pryskający pianą żwawy strumyk wśród łóz i szuwarów, obok bogaty kobierzec łąki różnobarwnem kwieciem usiany, a nad tem wszystkiem zuchwale w niebo wystrzelająca, smukła, gotycka wieżyca wiejskiego kościółka. A wszystko to tak swojskie, rodzinne, od każdego szczegółu bije takie ciepło rodzime, że mimowoli człowiek odrywa się myślą od rzeczywistości i skrzydłami duszy leci do tych miejsc ukochanych, tych miejsc „lat sielskich, anielskich", gdzie każdy drobny przedmiot szepce tysiące miłych wspomnień z młodości i budzi słodką tęsknotę za pogodną przeszłością dzieciństwa. Ukochana ta panorama, niby jakaś cudowna „fata morgana", wśród pustyni, ciągnie ku sobie z niezwykłą siłą i absorbuje całkowitą uwagę ucznia, odrywając myśli jego od wykładów, które w tej chwili zbyt poziomemi i realnemi się zdają. „Wszak nie samym chlebem człek tylko żyje„ — myśli na swe usprawiedliwienie — „nie zaszkodzi do codziennej szarzyzny życia, dodać kilka jaśniejszych promieni". Ale wreszcie na podniesiony głos profesora, wyprowadzającego jakąś zawiłą formułkę matematyczną, budzi się i wraca z żalem „z rajskiej krainy ułudy", spada z podniebnych szlaków marzeń i ze słowami „nie wódź mnie więcej na pokuszenie" wraca do rzeczywistości, rozpoczynając znowu czołganie się razem z innymi po szarej ziemi. Ale wkrótce dzwonek kładzie kres owej pielgrzymce i wszyscy po godzinie, spędzonej w gorącem, sennem powietrzu sali, spieszą odetchnąć aromatycznem powietrzem parku. I tu zbliżające się wakacje są na ustach wszystkich.

Bliżsi koledzy w grupkach układają z ożywieniem plan spędzenia wakacyj. Wspólne wycieczki, wzajemne odwiedzanie się i inne w takich przypadkach aktualne sprawy są rozsądzane z młodzieńczym rozmachem i żywością. Niektórzy nie podzielają jednak ogólnej radości i ożywienia z powodu końca roku. Są to ci, którzy bądź to z własnej winy, bądź też z powodu ciężkich warunków materjalnych, w jakich się znajdują, obawiają się słusznie onego „groźnego dnia sądu pańskiego" i z miną wieszczą, wzrokiem natchnionym, skierowanym w niebo starają się przedrzeć mroki tajemniczej przyszłości i przewidzieć, czy danem im będzie stanąć „w chwale po prawicy", czy też odpaść „na lewicę, gdzie płacz i zgrzytanie zębów".

Inna znowu grupa uczniów, więcej poważnych, zamyślających wolny czas feryj wykorzystać dla powiększenia zasobu swej wiedzy, czerpiąc ją z samego źródła, bo z własnej praktyki, rozprawia o wakacjach, jako o czasie tej właśnie praktyki, czasie sprawdzenia i naocznego przekonania się o prawdziwości zdobytych w szkole teoryj w zakresie techniki. Praktyka ta jest zarazem zetknięciem się i zapoznaniem z życiem fabrycznem — uczy wglądać, rozumieć i odczuwać dolę i niedolę tych drogich, szarych rzesz robotniczych, z któremi w przyszłości każdy z nas, jako pracownik na niwie technicznej tak częstą będzie miał styczność. I właśnie ta praktyka, jako wstępne kroki w samodzielnem życiu przyszłych techników, zajmuje w mniejszym lub większym stopniu prawie wszystkich uczniów. Na ten temat toczą się stale dyskusje, prowadzone z iście techniczną werwą, naszpikowane wyrażenia-

mi czysto technicznemi, nazwami firm i fabryk pierwszorzędnych w Polsce.

Najaktualniejszą jednak sprawą jest „Pomorska Wystawa Rolnictwa i Przemysłu w Grudziądzu“, na której i Szkoła Budowy Maszyn wystawi niektóre prace swych wychowanków. I niejeden z uczniów, pracując nad rysunkiem skombinowanej jakiejś maszyny, lub wykonywując jakiś inny przedmiot, wykończa i pieści każdy szczegół z myślą, iż na tym dowodzie jego pracowitości, wystawionym na miejscu publicznem, spoczną drogie mu oczy ukochanych rodziców, lub rodzeństwa. Inni znowu wykonują swe prace wystawowe z zajadłą precyzyjnością, by wytrzymać konkurencję innych zakładów naukowych, o podobnym kierunku nauczania, które swoje eksponaty wyślą również na tę wystawę.

A patrząc się na wszystkie te prace i rysunki doskonale wykończone i wychuchane niejako, widzi się to oddanie się całkowite i to prawdziwie szczere umiłowanie swej idei, swego, że tak powiem zawodu, tych wykonawców.

I być może, iż niejeden z Czytelników, czytając powyższe słowa, wzruszy z pobłażliwym uśmiechem ramionami, a w duszy zrodzi mu się pytanie: „I cóż jest przedmiotem tak gorącego umiłowania tej młodzieży? Ta anemiczna, odstraszająca, sucha technika?!“ Czytelniku kochany, suchą może się wydać technika tylko laikowi, nie rozumiejącemu i nie starającemu się wniknąć w istotę i ujrzeć w tęczowych jej barwach tej — mówiąc bez przesady — władczyni świata, która, jakby różdżka czarodziejska, zniosła zastraszającą dotąd dla człowieka grozę bezkresów przestworza, dając mu potężne, nowoczesne skrzydła Ikara — samoloty.

Na nich to człowiek śmielszy od orła, dumnem okiem spogląda z podniebnych szlaków na matkę — ziemię. Łodzie podwodne, koleje i inne środki lokomocji dały mu niepodzielne panowanie nad królestwem Neptuna i Jowisza. I ta to, na pozór tak sucha i odstraszająca technika, cudami swych wynalazków, jak radjo, wyżej wymienione i nieskończone mnóstwo innych, dała człowiekowi w słabe jego ręce tak potężne środki, iż niemi to zaprzęgł on do zwycięskiego swego rydwanu przepotężne, nieujarzmione dotąd moce żywiołów natury, chylące obecnie w niemym hołdzie dumne swe czoła przed genjuszem myśli ludzkiej.

I ta to właśnie pani potężna jest przedmiotem naszego ukochania, jest naszą królową i pod jej sztandarami huf nasz młody w przyszłości na nowe wyruszy zdobycze. I nic też dziwnego, iż każdy z tych przyszłych szermierzy techniki stara się już teraz uwidocznić swoją gotowość pracy, aczkolwiek ciężkiej i znojnej, ale owocnej dla Ojczyzny, jak i dla całej ludzkości, jak żadna inna.

A pierwszemi właśnie próbkami tej pracy są przedmioty wystawowe uczniów.

Sama wystawa, jako obraz stanu rolnictwa i przemysłu pomorskiego, budzi w szkole, jak i wszędzie indziej, a w szkole zwłaszcza z technicznego punktu widzenia, wielkie zainteresowanie. Sąsiadujący ze szkołą plac wystawowy z kompletnem swojem urządzeniem wygląda jak małe południowe miasto, ruchliwe i tętniące życiem iście południowem, chociaż wystawa nie została jeszcze otwarta. Otwarcia tego ma dokonać Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej, Pan Wojciechowski.

Odrobina tego zaszczytu, spadającego z powodu pobytu Pana Prezydenta Państwa w Grudziądzu, przypadnie i Szkole Budowy Maszyn, gdyż mamy nadzieję, że Wysoki Dostojnik Państwa raczy być chwil kilka Drogim Gościem w murach naszej uczelni, jako niby filji ogólnej wystawy.

Takie to tematy, nigdy nie wyczerpane, zajmują umysły uczniów, dodając do zwykłego przedwakacyjnego ruchu i żywości sporą dozę animuszu i ognia.

W szkole liczy się dnie i godziny, dzielące jeszcze od otwarcia wystawy, a następnie od rozpoczęcia tak miłych i wiele obiecujących wakacyj, czasu wypoczynku i wznowienia zasobu sił i energji do pracy na rok przyszły, do pracy wytężonej i zachłannej, by przez nią osiągnąć kiedyś cel nasz, służenie Ojczyźnie, w miarę wszystkich sił naszych. Wzniosły ten cel osiągniemy tylko przez zdobycie wiedzy i to wiedzy jaknajszerszej i jaknajbardziej gruntownej.

A więc w imię tej wielkiej idei, „młodzieży polska ty nad poziomy wzlatuj“! nad poziomy, ku szczytnym ideałom i wiedzy! Wzlatuj całym swym zapałem i potęgą ducha, całą mocą potężnych skrzydeł młodości, całym hartem silnej woli! Wzlatuj i pędź śmiałych orląt gromadą do onego słońca wiedzy i zdobywaj, choćby w trudzie i znoju błogosławione jej światło, byś kiedyś całą swą drogą zdobycz, całą swoją energję i wszystkie swe siły i zdolności zaszczytnie złożyć mogła na ofiarnym ołtarzu ukochanej Ojczyzny. —

Kornacki K.

Wycieczka do Gdańska

Absolwentów Państwowej Szkoły Budowy Maszyn w Grudziądzu.

Czwartek, dnia 20-go maja godz. 4.15. Wyjeżdżamy do Laskowic, gdzie przesiadamy się na pociąg, idący bezpośrednio do Gdańska.

Wycieczka składa się z 2 absolwentów i dwóch profesorów.

Podczas podróży między uczestnikami panuje wielkie ożywienie, przejawiające się w śpiewie na różne melodje i tempa.

Pierwszą naszą czynnością w Gdańsku była wymiana złotych na guldeny gdańskie.

Za każdy złoty polski otrzymujemy 99 fenigów gdańskich.

Z dworca udajemy się piechotą do domu akademickiego we Wrzeszczu.

Droga prowadzi przez długie aleje Gdańskie, które podobno były sadzone za Napoleona.

Po dość długim marszu dochodzimy do naszego celu i już zdala słyszymy jazzband na całą parę.

Jakiś student politechniki objaśnia nas, iż to jedna z korporacyj urządza bibkę.

Mamy kłopot z noclegiem, gdyż 50 uczniów z gimnazjum łódzkiego bawi z wycieczką już cały tydzień, jednak, jako dla „kolegów po fachu", zapędzają sztubaków po 2 na jedno łóżko, tak, że możemy sobie wypocząć.

Dom akademicki we Wrzeszczu, zamieszkiwany przez studentów Polaków politechniki gdańskiej, jest jednem z najbardziej skupiających w około siebie ognisk polskości. To też nieraz czytamy w gazetach, że wszelkie obchody, zebrania, lub rocznice odbywają się w tym właśnie budynku.

Studenci mieszkają tutaj po 2 lub 3 w jednym pokoju, mają swoją jadalnię, która jednocześnie służy do liczniejszych zebrań. Oprócz tego mają swój własny bufet, oraz łazienki dla zimnych kąpieli, z których nie omieszkaliśmy zaraz nazajutrz skorzystać.

Nazajutrz po wypiciu herbaty (strasznie cienkiej) jedziemy tramwajem (za 25 fenig.) do miasta w celu zwiedzenia stoczni gdańskiej, gdyż to był główny cel naszej wycieczki do Gdańska.

Po półgodzinnem wyczekiwaniu na dyrektora zakładów, wpuszczono nas do wnętrza.

Odrazu rzuca nam się w oczy szereg żurawi i dźwigów, stojących w dokach.



Wycieczka absolwentów w Gdyni na torpedowcu „Kaszub"

Warsztaty mieszczą się w ogromnych halach.

Nawprost wejścia do zakładów znajduje się hala obrabiarek.

W pierwszym oddziale znajduje się znaczna ilość t. zw. półautomatów i automatów, t. j. maszyn, które same (po odpowiedniem nastawieniu) wykonywują czynności za człowieka przy pomocy odpowiednich bębnów z przyśrubowanemi listwami.

Obserwujemy wyrób śrub na tych automatach.

Na jednem wrzecionie obtacza się kawałek żelaza (okrągły lub wielokątny), na drugiem

wrzecionie nóż gładzi obtoczony z gruba kawałek, jednocześnie na trzeciem wrzecionie nagwintowuje się rdzeń, obtoczony poprzednio na pierwszem i drugiem wrzecionie, na czwartem zaś nóż obrabia główkę i ucina gotową śrubę, która automatycznie zostaje odrzucona na bok.

W następnym oddziale znajdowały się zwykłe tokarki różnych typów, między innemi można było zauważyć znany typ amerykańskiej tokarki.

Co jest jednakże do zaznaczenia, to to, iż każda maszyna, każda obrabiarka, ma swój własny napęd w postaci motoru.

Dalszy oddział zajmowały wiertarki, strugarki i frezarki.

W tym dziale znajdowały się maszyny do wyrobu kół zębatych, na które to nasz wykładowca obrabiarek, p. dyr. Herzberg chciał zwrócić uwagę.

Jedną z nich była maszyna do wyrobu kół zębatych metodą Bilgrama, następnie maszyna do wyrobu kół ślimakowych, ślimaków, kół stożkowych i t. p.

W dalszym ciągu przechodzimy do bardzo wielkiej hali, w której znajdowały się największe maszyny.

Między innemi widać było ogromną strugarkę poziomą, która w danej chwili strugała sanie do tokarni, długości około 5 metrów.

Tutaj robimy zdjęcie na tle tokarki tarczowej poziomej obtaczającej koło zamachowe do silnika Diesel'a o średnicy 2 metrów.

W tejże hali znajduje się montownia silników ropnych Diesela.

Widzimy właśnie świeżo zmontowany dwucylindrowy motor stojący Diesel'a w próbnym biegu, który trwa według opowiadania kierownika tego działu, przeciętnie 14 dni.

Przechodzimy przez montownię kotłów, w której robotnicy zapomocą pneumatycznych młotków nitują blachy.

Można było zauważyć kilka seryj kotłów, przeważnie dla celów browarniczych.

W odlewni, oprócz kół zamachowych, nie widzimy nic szczególnego: 3 piece kupolowe ze zbiornikami na żelazo, no i dość duży żuraw, na którym siedziało 2 ludzi, wykonywującautomatycznieswączynność, tj. puszczając w ruch motor dla podniesienia ciężaru, lub też dla przesunięcia go w jednym lub drugim kierunku.

Oczyszczalnia odlewów (pucernia) nie przedstawia nic ciekawego; przewodnik zwraca nam uwagę na maszynę, która czyści odlewy, znajdujące się na obracającym się ruszcie za pomocą strumienia piasku.

Myślał może, że to dla nas nowość, nie wiedział, że w Grudziądzu, w fabryce Herzfeld i Victorius, są 3 takie maszyny.

Dalej przechodzimy koło doków, gdzie widzimy statki w remoncie, między nimi nasz największy polski holownik „Wartę“, który stał w stoczni dla odnowienia.



Wycieczka absolwentów w Gdyni na tle floty wojennej

W hali do celów elektrotechnicznych rzucały się w oczy stosy blachy miedzianej, przygotowanej do wyrobu tworników dla prądnic prądu stałego i dla alternaterów.

Można było doskonale przyjrzeć się nawijaniu uzwojenia na twornik i nitowaniu uzwojenia (bębnowego) z kolektorem.

„Pan majster“ odezwał się dobrodusznie: „Sie haben doch keine Ahnung davon“

(wy nie macie pojęcia o tem), czem nas bardzo uraził.

Zaraz też kilku zareagowało na to, pokazując nasze zdjęcia z laboratorjum szkolnego i zadając mu kilka pytań teoretycznych, które zbył ogólnikami.

Robimy jeszcze kilka zdjęć, dziękujemy przewodnikowi i, dzieląc się na grupy, udajemy się na zwiedzenie samego miasta.

Gdyby nie stare pamiątki polskie w Gdańsku, to niktby nie uwierzył, iż Gdańsk to polskie miasto.

Na ulicach słychać tylko niemczyznę, bardzo rzadko można usłyszeć kilka słów polskich.

Na wszystkich rogach i skrzyżowaniach dumnie tkwi „Szupo", ze swoją „łopatką", wskazujący majestatycznym ruchem (czuje się obywatelem suwerennego państwa) kierunek jazdy dla samochodów itp.

Co do ulicznego ruchu to Gdańsk, ani się umywa do Warszawy, Poznania lub Krakowa.

Gdy w Warszawie np. człowiek musi dobrze się namyślić i narozglądać, aby móc przejść z jednej strony ulicy na drugą, to tutaj może sobie spacerem przejść i napewno mu się nic nie stanie.

Po obiedzie pociągiem podmiejskim jedziemy do Oliwy. Tam zwiedzamy klasztor ze słynnemi na cały świat organami (podobno w Holandji są większe), a następnie park królewski i zamek. W zamku znajduje się pamiątkowy stół, na którym był podpisany znany nam pokój Oliwski.

Zamek stoi pustką, gdyż o niego toczy się proces między Polską a Gdańskiem.

Z zamku roztacza się cudny widok poprzez równo obciętą aleję na morze.

Cudnym jest on dlatego, iż w dali widać sine morze, odbijające się od widnokręgu, bliżej brzeg, zarośnięty krzewami, jeszcze zaś bliżej widza znajduje się sadzawka, do której dochodzi się wspomnianą aleją.

Prawdziwie królewski widok.

Z zamku udajemy się nad morze.

Dom kąpielowy, kilka łodzi rybackich, sieci i nic więcej.

Wracamy do Oliwy, a stamtąd tramwajem do Gdańska.

Z okna tramwaju roztacza się piękny krajobraz. Z jednej strony morze, z drugiej góry, otaczające Oliwę.

Linja tramwajowa ciągnie się przez cały czas poprzez duże aleje, tak, że przyjemniej jest jechać tramwajem, niż pociągiem, tembardziej, że kosztuje to 5 fenigów mniej.

Zjadamy kolację i wypijamy całą baterję butelek piwa.

W ostatnim dniu zajeżdżamy do Gdyni. Na pierwszym planie dworzec niedokończony.

Tutaj spotyka znów jednego z nas miła niespodzianka, ma on 50 papierosów za 1 guldena, za co każą mu płacić 3,50 zł. cła.

Wolał się biedak pozbyć papierosów, niż tyle dopłacać.

Polska dobrze się broni przeciw importowi z Gdańska, nakładając tak wysokie cło.

Idziemy do portu, dostajemy zezwolenie od kapitana portu na zwiedzenie wszelkich urządzeń.

Dzięki uprzejmości jednego z kapitanów, dostajemy się na kanonierkę, gdzie oficer dokładnie zaznajamia nas z budową statku.

Każdy kawałeczek miejsca jest wyzyskany.

Maszynownia, kotłownia (węglowa i oliwna) mieszczą się w samym środku okrętu.

W maszynowni, znajdują się 2 turbiny parowe, jedna na bieg naprzód, (większa), druga na bieg w tył (mniejsza). Dalej jedne turbodynamo na prąd stały dla oświetlenia statku i reflektorów, jedna pompa odśrodkowa szybkobieżna, którą używają do zasilania wodą kotłów, a w razie zalania statku jako ratowniczą, kilka mniejszych pomp, poruszanych małemi maszynami parowemi, wreszcie przyrząd do przetwarzania wody morskiej na wodę do picia i zasilania kotłów.

Kotły są specjalnego typu, okrętowe (wodnorurkowe).

Kotły na oliwę mają paleniska dwustronne po pięć dysz z każdej strony.

Robimy zdjęcia i udajemy się na zwiedzanie innych części portu.

Gotowe są już dwa mola, a trzecie w robocie na prawo od głównego mola.

W porcie pracują 2 pogłębiarki, wydobywające 500 ctn. piasku na dobę.

Mają one za zadanie pogłębienie głównego kanału, tak, aby większe okręty mogły przybijać do brzegu.

Koło południa wszyscy użyli ochłody w naszem polskiem morzu.

Wypijamy maślankę i jedziemy zwiedzić te słynne i wychwalane przez „naszych" Zoppoty.

Gdzie, jak gdzie, ale tutaj „nasze kochane mniejszości" strasznie głośno rozmawiają po „polskiemu".

Wstydzą się tu swego żargonu, a u nas to by ich batem nie nagnał do polskiej mowy.

To też w Zoppotach na każdym kroku słychać polską mowę, chociaż nie można te-

go właściwie nazwać polską mową, lecz strasznem kaleczeniem naszego czystego języka.

W Zoppotach popełniamy przestępstwo, gdyż dajemy zarobić niemieckiemu rybakowi, który nas wszystkich zabiera na 2 godz. przejażdżki po morzu, aż 15 guldenów.

Rozlokowujemy się na burcie, jak kto może. Ostrożniejsi pozostają na środku, mniej zaś doświadczeni kładą się na dziobie łodzi.

Skutki nie dają długo na siebie czekać. Oto jeden z nich, trochę blady, schodzi z przodu, lekko tańcząc, siada przy burcie i patrzy w wodę, jak gdyby tam szukał rekinów, lub morskich psów, a potem jedzie do .... naturalnie bez biletu.

Płyniemy początkowo w kierunku Oliwy, potem zataczamy łuk, przepływamy zdala od Zoppot i płyniemy w kierunku polskiego Orłowa, następnie wracamy do Zoppot, skąd jedziemy pociągiem bezpośrednio do Grudziądza.

Z wycieczki tej skorzystaliśmy bardzo dużo, tak pod względem krajoznawczym, jak i naukowo-dokształcającym.

W. Gutowski.

Praca w Szkole Budowy Maszyn.

Aby odpowiedzieć na pytanie równie ważne jak ciekawe, trzeba zbadać stan psychiczny uczniów, a zestawiając go z warunkami społecznemi i ekonomicznemi, wysnuć wniosek odpowiedni.

Dzisiejszy stan psychiczny uczniów klas wyższych średnich zakładów naukowych pozostawia wiele do życzenia. Naleciałości nauki nienormalnej uczniów z okresu powstawania Państwa Niepodległego, ich praca, chęci i pretensje do jaknajszybszego kończenia nauk, ich stan niespokojny, a często podniecony z tego powodu, udzielił się i tym, których wychowanie przypada poza okres czasów nienormalnych. Panujące warunki społeczne, niebywały postęp i wielka rywalizacja jednostek, grup i narodów wpływają ujemnie na młodzież.

Uczeń dzisiejszy jest więc niespokojny, nienormalnie żądny wiedzy, często wprost chorobliwy.

Warunki ekonomiczne, w jakich uczniowie się znajdują, naogół biorąc, są złe. Zbytecznem byłoby rozwodzić się, jak podobnie trudne warunki pieniężne ujemnie wpływają na stan psychiczny i samą naukę uczniów.

Jak idzie praca w Szkole Budowy Maszyn? Przedewszystkiem, jak inni, tak i my nie jesteśmy wolni od wpływu rywalizacji społecznej i realizmu społecznego.

Dlatego naukę bierzemy z punktu widzenia realnego, do czego zmusza nas poniekąd sam typ szkoły i sposób nauczania Trzeba dużo pracy, aby zdobyć coś wiedzy, a tem więcej jej potrzeba, aby tę wiedzę można było bezpośrednio w życiu stosować. Toteż nauka u nas pociąga za sobą dużo pracy jednostajnej i planowej.

Z długością pobytu w szkole praca się zwiększa. Sama nauka, początkowo niewiele różna od gimnazjalnej, z biegiem semestrów przybiera formy coraz poważniejsze, a od piątego semestru zupełnie poważna, staje się podobna nauce na technikach. Istota i forma nauki świadczy, że bagatelizować jej nie wolno, to też pracować trzeba intensywnie.

W pierwszych dwu latach najwięcej pracy wymagają przedmioty matematyczne i po części techniczne; w latach następnych matematyka ustępuje po to, aby jej miejsce zajęły przedmioty techniczne, jeszcze więcej pracy wymagające.

Zajęcia w szkole można podzielić na dwie części: teoretyczne i praktyczne: teoretyczne wymagają więcej pracy umysłowej, mniej czasu, praktyczne więcej czasu, a mniej wytężonej pracy umysłowej. Teoretycznemi zajęciami jest przygotowywanie się do słuchania i słuchanie wykładów, praktycznemi — prace z geometrji wykreślnej, kreśleń technicznych, wykresów mechanicznych, konstrukcyjnych, obliczeń i t. d., a ponadto praca w warsztatach: w ślusarni, tokarni, narzędiowni, modelarni, stolarni etc.

Wspólne pożycie w szkole wytwarza wspólne potrzeby. To też do rzędu prac szkolnych można zaliczyć obowiązki i pracę zbiorową w Bratniej Pomocy.

Przeciętny czas nauczania, 7 godzin dziennie, podzielony na okres przed- i popołudniowy, zmusza do pracy całodziennej, a liczne prace rysunkowe, wykresowe i t. d., zmuszają do jaknajlepszego wykorzystania czasu między lekcjami.

Trudne położenie finansowe młodzieży uczącej się panuje i u nas, wskutek czego niektórzy uczniowie poświęcają się pracom postronnym, jak korepetycji. Zwiększa to i tak uciążliwą pracę.

* *
*

Cała ta praca nie uspasabia nikogo bynajmniej pesymistycznie: owszem każdy zadowolony jest z obecnego stanu rzeczy, a zrozumienie się wzajemne uczniów i profesorów z Dyrektorem na czele, stwarza w szkole atmosferę przyjazną. Z tem większą więc intensywnością praca postępuje naprzód.

Stf. Królicki.

Znaczenia techniki dla ludzkości.

Niesłychany rozwój techniki w obecnych czasach tak piękne dał nam wyniki, tak wielkie i cudowne, nieraz w zdumienie wprawiające wynalazki, iż mimowoli nasuwa się nam zagadnienie: pocóż to wszystko człowiek stwarza?

Zastanowiwszy się nad powyższem pytaniem i rozpatrzywszy historję rozwoju ludzkości od pierwszych jej kroków w dziedzinie wynalazków, aż do obecnych zdobyczy techniki, dojdziemy do wniosku, że celem wytycznym ich jest polepszenie bytu na ziemi, oraz chęć uczynienia go mniej znojnym i wygodniejszym.

I rzeczywiście, co tylko weźmiemy do ręki, na co tylko spojrzymy, wszędzie widzimy ten cel, wszystko to, jeżeli nie jest przeznaczone do bezpośredniego użytku, to w każdym razie jest czemś, co pomaga nam w pracy, lub potęguje siłę naszych zmysłów. Wyobraźmy sobie pierwszego naszego rodzica wśród puszczy i dzikich zwierząt, ile to niebezpieczeństw czychało na niego, który był najmniej może przysposobionym przez naturę do walki z niemi. Ale pomimo, iż był on najwięcej upośledzonym pod względem siły i sprawności zmysłów między innemi stworzeniami, to jednak wyszedł z tej walki nietylko zwycięsko, lecz stał się panem natury.

Czemu to przypisać należy? — Oto rozumowi człowieka, skłonności do wygód i zbytku, oraz chęci poznania dokładnie tego wszystkiego, co tylko odczuwają jego zmysły.

Ciekawość, czy też przypadek dały możność człowiekowi poczynienia jakiegoś spostrzeżenia, rozum starał się je wytłumaczyć, a chęć wygód — zastosować do swej korzyści. Taka jest historja każdego prawie wynalazku człowieka. Wynalazek jeden często pociągał za sobą inne, te znów inne i w ten sposób tworzył się długi ich łańcuch od wynalezienia ognia (które miało to epokowe znaczenie, że łączyło poszczególne jednostki w rodziny i przez to powoli zmieniało tryb życia koczowniczy na osiadły), aż do zdobyczy techniki z ostatniej doby.

Jednakowoż człowiekowi nie wystarcza to, co ma. Umysł ludzki jest taki, że im więcej poznał, tem więcej poznać pragnie. Człowiek poznaje dawne wynalazki, doskonali je lub zamienia na nowe—jednem słowem stwarza nową naukę, wyhodowaną przez wszystkie inne prawie, a tą nauką jest technika. Ona to prowadzi człowieka do takiego celu, gdzie praca ludzkich zmysłów jest zamieniona zupełnie na pracę maszyn, gdzie przestrzenie wielkie, dawniej niezdobyte, nie będą miały znaczenia w rozmowie dwóch przyjaciół, znajdujących się na przeciwległych krańcach ziemi, ani będą przeszkadzały wzajemnemu widzeniu się ich, a przebycie odległości, dzielącej ich, będzie dziełem jednej chwili.

To może być w bliskiej przyszłości, a co teraz już posiadamy? Gdziekolwiek tylko spojrzymy, czy to patrzeć będziemy na mknące samochody, aeroplany, pociągi, okręty, czy łodzie podwodne, któremi pokonana została ziemia, powietrze, woda i morskie głębiny, czy to spojrzymy na ruch maszyn w fabrykach, gdzie wytwarzają się przedmioty codziennego użytku, jak również i skomplikowane aparaty do przeróżnych celów, wszędzie zobaczymy potęgę rozwijającej się techniki i olbrzymie znaczenie jej dla ludzkości. Jeżeli więc tyle zawdzięczamy tej nauce, to śmiało powiedzieć możemy, że jest ona najważniejszą ze wszystkich innych, gdyż daje nam bezpośrednio to, o co człowiek walczy od początku swego istnienia. Żadna inna nauka tyle nam nie dała, co technika i przez to właśnie zdobyła ona sobie to pierwszorzędne miejsce, jakie teraz wśród nich zajmuje.

„Technika stworzyła przemysł, który jest podstawą bytu krajów, udoskonala rolnictwo, ułatwia komunikację i wreszcie jest jedynym i potężnym środkiem obrony granic kraju w obecnych czasach. Państwo, w którem jest ona słabo rozwinięta z góry skazane jest na zagładę, przedewszystkiem finansową, gdyż nie podoła konkurencji zagranicy, a powtóre na zagładę zupełną i pokonanie danego państwa. Cóż pomogą ręce, choćby najmocniejsze jego obrońców, cóż pomoże ich dzielność i odwaga wobec dział dalekonośnych, potężnych samolotów i gazów trujących, które w przyszłych wojnach odgrywać będą pierwszorzędną rolę?

Co umysł ludzki stworzył, umysł tylko zniszczyć może i tylko genjalne umysły uczonych przeciwstawić się mogą sile technicznej wrogów, a szczególnie nam w Polsce potrzeba ich teraz najwięcej.

Kto poświęca się pracy naukowej na polu technicznem z całym zapałem i poświęceniem — ten żałować tego nigdy nie będzie, a choć ona lekką nie jest, jednak daje takie zadowolenie wewnętrzne, jakie rzadko która inna nauka dać może.

St. Biegalski.

Wspomnienia absolwenta.

W pokoju mrok. Już ostatnie promyki dnia wiosennego zniknęły na horyzoncie, a na niebo wypłynął majestatycznie księżyc, rzucając blade światło na otuloną w srebrne mgły ziemię. W powietrzu była cisza i czuć było zapach wiosny; od łąk i lasów szedł jej powiew i rozsadzał piersi i wlewał jakąś moc i chęć do życia. Ani jeden liść nie drgnął, ani jeden głos nie mącił czaru nocy, tylko niestrudzony świerszcz nucił w trawach swą monotonną piosenkę; tylko Wisły fale, lśniące pod promieniami miesiąca, toczyły się cicho w dal, ginąc w mrokach nocy, tylko rechot żab dochodził ze stawów i zdala słychać było wieczorny dzwon.

Staruszka ziemia spała.

W pokoju mrok. Srebrne promienie niebieskiej latarni wdarły się przez kotarę do mej samotni. I wtedy z kątów pokoju gdzieś z zamierzchłych czasów poczęły wysuwać się wspomnienia przeżytych dni, wspomnienia lat dziecinnych, i stawały przedemną w aureoli księżycowego światła. Przesuwały się przedemną, jak elizejskie cienie, te wszystkie lata, spędzone na ławie szkolnej i mówiły mi tak dużo, dużo... Powtarzały mi to wszystko, co przeżyłem, te wszystkie chwile złe i dobre, chwile smutku i radości. A było ich bardzo wiele. Promień księżyca upiększał je i złocił To wszystko dziś minęło. Dziś po raz ostatni zasiadłem na ławie szkolnej, na tej ławie, która była towarzyszką od najpierwszej młodości, która, gdyby mogła mówić, powiedziałaby dużo, dużo z życia jej właściciela. Dziś żegnamy ten gmach, mieszczący w sobie tyle energji, tyle młodości, żegnamy, idąc w drogę życia, kto wie, jaką, może pokrytą kolcami i cierniem? Dziś ta szkoła stała się dla nas drogą i widzimy, że strata jej daje się dotkliwie odczuwać.

A noc zapada coraz głębsza i czarniejsza, bo nawet księżyc skrył się za chmurę i pierzchły wspomnienia, a została tylko bezdenną dal, w której niewiadomo, co spotkamy. Wraz ze szkołą przeszły młodzieńcze lata i wobec życia młodzieniec stał się dojrzałym człowiekiem, zamarł na ustach śmiech, minęły dni, w których brać studencka żyła bez troski o jutro. Dziś daliśmy dowód, że możemy iść w życie o własnych siłach, że możemy prowadzić walkę o byt, że możemy istnieć. Szkoła wlała w nas wychowanie, wiedzę i inteligencję. Szkoła otworzyła nam wrota na szeroki świat, w który chcieliśmy się jaknajprędzej wyrwać, a oto my, miast wyfrunąć lekko i swobodnie, stoimy i oglądamy się, wodząc tęsknym wzrokiem po naszej wychowawczyni, posyłamy serdeczne pozdrowienia tym, którzy karmili nas wiedzą przez lat kilka.

Żegnaj, żegnaj, szkoło, po raz ostatni i wiedz, że w sercach naszych pozostanie zawsze miłe wspomnienie z twej ławy i szczere przywiązanie, pomimo fizycznej rozłąki. Przechodzimy teraz także do szkoły, ale jakże ona będzie różną od tej, jak czarno przedstawia się ta druga szkoła, szkoła życia.

Nie dziwcie się naszym żalom, wy, którzy pozostajecie w murach szkolnych, bo przyjdzie dzień, kiedy tak samo z tkliwem sercem będziecie je opuszczać, a wtedy dopiero potraficie zrozumieć nas, którzy tę chwilę już przeżywamy.

Żegnajcie więc miłe wspomnienia, żegnajcie lata młodości, żegnaj Ty, coś nam dała wskazówki na drogę i niech Twa wiedza będzie nam gwiazdą przewodnią w przyszłem życiu, tak prywatnem, jak i społecznem.

S. Zalewski.

Z żałobnych kart kroniki Państwowej Szkoły Budowy Maszyn w Grudziądzu.

(Wspomnienie pośmiertne o śp. prof. inż. M. Draczyńskim.

Dn. 9-go września 1924 r. odprowadziła nasza szkoła w wielkim smutku jednego ze swych kierowników umysłowych i wychowawców prof: inż. Draczyńskiego, na miejsce wiecznego spoczynku. Nieubłagana kosa śmierci przecięła pasmo młodego jeszcze żywota tego cichego, ale zawsze i wszędzie czynnego pracownika niwy naukowej, pozostawiając rodzinę, koło przyjaciół i naszą szkołę w nieutulonym smutku i żalu.

Szkoła poniosła niczem nie powetowaną stratę, przez tak rychłe i nagłe opuszczenie nas przez człowieka tak wielkich zdolności i głębokiej wiedzy. Swoją sumiennością, pracowitością i niczem nie zamąconą pogodą ducha, jaką się odznaczał w ciężkich nawet chwilach, tak trudnego i znojnego Swego zawodu, pozyskał sobie głęboki szacunek i miłość u Swych współkolegów z Grona nauczycielskiego, jak i u wszystkich uczniów szkoły. Pod umiejętnem, ojcowskiem prowadzeniem umysły Jego wychowanków urabiały się, jak kawał kruszcu pod delikatnem dłutem mistrza, którego każdy ruch jest skończenie doskonałym, na zdrowe i silne charaktery, takie jakimi On je właśnie mieć pragnął.

Pracowity i młodzieńczo ruchliwy, niósł wytrwale i z umiłowaniem kaganiec drogocennej oświaty, interesując się przytem każdym odruchem i przejawem życia uczniowskiego, stawał na czele związków uczniowskich. Za to i za Jego z uczniami, postępowanie braterskie prawie koleżeńskie, młodzież szkolna darzyła go wielkiem zaufaniemi miłością prawie synowską.

Przyjm więc Kochany nasz Kierowniku serdeczne podziękowanie za trud Twój i pracę znojną, dla nas położoną. Dzięki Ci za udzielane nam światło wiedzy, za prawe i szlachetne zasady jakie w nas wpajałeś, a których przyrzekamy Ci zawsze w życiu się trzymać.

Spij więc lekko i spokojnie w ciszy mogiły Swej. Mistrzu nasz Ukochany! A wdzięczna i jasna pamięć o Tobie i Twych czynach pozostanie na zawsze w naszem gronie.

Cześć Twym czcigodnym prochom!

Kornacki Kazimierz.

Jesień

Jesień!.. Zamglone niebo zda się łka;
Na drzewach resztki zwiędłych liści,
A w oku mem perli się łza,
Bo nie wiem czy mój cudny sen się ziści.
Czy wrócą te czarowne dni
Te dni wtulone w sen miłości
Czy wróci szczęście, wrócisz ty
Czy wrócą chwile mej przeszłości?
Jesień!.. Wicher porywa liście z drzew
I smutnie nuci swą piosenkę
I słyszę mej przeszłości śpiew
I czuję mą okrutną mękę.
Wspomnienia szarpią duszę mą
I serce ranią mi boleśnie,
Czemuż, ach czemuż miłość twą
Straciłem biedny ja tak wcześnie.
Przeminął sen czarownych dni;
Przeminął szał miłości twej
Lecz w sercu mem zostałaś ty
I wieczny znicz miłości mej.
Jesień!.. Jak smutnie wokół już
I niebo zdaje skarżyć się.
Swiat placze za kwiatami róż
A ja, żem stracił Cię!..

S. Zalewski.

NA POLU CHWAŁY.

NOWELA.

Świtało. Trwożliwe cienie nocy ostatkami sił już walczą sennie z nadchodzącym, pogodnym porankiem letnim.

Cudna melodja tęsknych, rzewliwych pieni słowiczych rozlega się jeszcze, a pieszczotliwem i płochem echem stokrotnie powtarzana, wielbi czar cudnej nocy czerwcowej, pełnej rozkosznych szmerów i dyszącej wonią róż i jaśminów, bielejących w srebrnej poświacie księżyca. On sam zaś, ów wędrownik po niebieskich bezkresach, źródło natchnienia poetów, powiernik serc zakochanych, uśmiecha się sennie ze zmęczenia, ale jakby z żalem za minioną bezpowrotnie, uroczą nocą, chyli coraz niżej znurzoną głowę i blednieje blednieje coraz bardziej, ustępując tronu owemu, a potężniejszemu od siebie władcy — słońcu, którego zbliżanie się poznał po radosnym dreszczu śnieżystych lilij i szuwarów wodnych. Wznoszące się nad moc opary nadają fantastyczny, a zarazem i malowniczy wyraz całej okolicy. Już odezwało się kilka głosów, pierwszych czat awangardy nadchodzącego dnia. To ptactwo wodne rozpoczyna ranny przegląd swego królestwa. Ale po chwili do chóru rzeszy skrzydlatej dołącza się inny głos o dziwnie ostro klekocącym, metalicznym dźwięku, płynącym po rosie ze wschodniej strony, od strony widniejącej hen, na widnokręgu sinej wstęgi lasu, pokrywającego faliste pasmo pagórków. W głosie tym, rozpoznajemy dalekie urywane rzegotanie karabinów maszynowych. Gromowe odgłosy strzałów armatnich przyprawiają ziemię, o bojaźliwe drzenie, uciszając na chwilę melodyjny koncert ptactwa.

Te to właśnie lesiste pagórki w oddali są świadkami, a zarazem przedmiotem kilkudniowej już zażartej walki, przerywanej tylko dobroczynnymi mrokami nocy.

To krwawe pole śmierci, ten podwójny kordon szańców, najeżonych działami i ludźmi, jest punktem dążenia śmiałego lotnika, zamierzającego właśnie wzlecieć celem obejrzenia i przedostania się na drugą stronę pozycyj nieprzyjacielskich, z rozkazami do swoich. Ogląda on ostatecznie swój aparat wyprowadzony z namiotu na tymczasowej stacji lotniczej wśród wielkiego, malowniczego błonia. Wzrokiem pełnym przywiązania obejmuje ukochaną swą maszynę, na której tylu sławnych dokonał czynów. Na boku samolotu widnieje jego nazwa: „Boruta“.

Sam pilot, młody dwudziesto-dwuletni może dorodny, młodzian, smukłej i zgrabnej postaci, o pięknie rzeźbionych rysach, owalnej twarzy greckiego profilu, południowej cery i południowego gorącego charakteru, przebijającego z każdego jego ruchu, stoi właśnie wsparty na samolocie, a w oczach czarnoaksamitnych jak i w całej twarzy odzwierciadlającej żywo każdą grę uczuć, odbija się tęsknota i smutek, a jakiś nieznany mu dotychczas głos szepce niespokojnie w duszy i wywołuje złe przeczucia i dziwnie bolesny skurcz serca. Lotnikiem tym jest głośnej sławy zagonnik, porucznik — pilot Orliński.

Bohaterskie czyny tego prawdziwego orła przestworza mógłby wyliczyć wierny jego druh i towarzysz chwalebnych walk i bojów, samolot „Boruta“. Nazwa ta była chlubą i uwielbieniem wojska polskiego, zaś postrachem i zmorą dla napowietrznej floty nieprzyjacielskiej i z czasem objęła i dzielnego pilota i stała się jego niejako zaszczytnym herbem czy przydomikiem, a zwłaszcza, że porucznik Orliński rad słyszał.

Boruta opanował wkrótce wzruszenie, elastycznym ruchem wskoczył do samolotu i niebawem wspaniały ptak, potoczywszy się kroków kilka, poderwał się w górę, zakreślił kilka kół i wreszcie z dźwięczną muzyką motoru, królewskim lotem poszybował w przestworza. Pilot, poczuwszy się znowu w swoim żywiole, nie słyszał chwilowo przyspieszonego bicia, ściśnionego złem przeczuciem serca. Rozkoszował się cudnym porankiem letnim i własnym lotem, nurzając się w białych tumanach chmur. Wkrótce jednak zniżył nagle lot swój i skierował ku ledwo widocznemu punktowi hen, daleko na ziemi. Borucie zabiło serce przyspieszonem tętnem, podwoił chyżość samolotu i leciał, pędził z wichrami w zawody, duszą będąc już tam w tym powiększającym się z każdą chwilą punkcie. Stęskniony lotnik leciał jak upiór blady, by choć na chwilę i z góry ujrzeć swój dom rodzinny, który opuścił przed czterema laty, spiesząc na zew zmartwych wstającej z wiekowego przeszło letargu niewoli Ojczyzny. I dziwnym trafem eskadra jego wczoraj właśnie przyleciała z dalekich stron krwawych walk i bojów, na nową z

wrogiem rozprawę i osiadła w rodzinnych okolicach porucznika Boruty. Palony żarem tęsknoty tłukł się po namiocie przez noc całą, jak zamknięty zwierz w klatce, dręcząc się pytaniami; „Co się też dziać może z jego drogą, starą już matką i jedyną, ukochaną siostrą? Czy stary modrzewiowy dwór otoczony wspaniałym parkiem ostał się wobec strasznej nawałnicy, krwiożerczej wojny? Jakiż los spotkał w przeciwnym razie, te dwie najdroższe dla niego na ziemi istoty. Może teraz gdzieś w obcym kraju w nędzy i w poniewierce muszą szukać na tułaczce bezpiecznego schronienia“? Na samą tą myśl Boruta chwytał się obłędnym ruchem rozpaczy za głowę, a z piersi wydzierał mu się skowyt straszliwego niepokoju i bólu. I teraz oto leci bez kropli krwi w twarzy, by choć w części uspokoić, śmiertelną trwogę o matkę i siostrę. Leci choć wie co go czeka za czyn tak karygodny, zboczenie z drogi wytkniętej rozkazem, bo tęsknota jego i lęk bezgraniczny potężniejszym jest nad nieugiętą moc rozkazu. I już krąży zniżając się ciągle nad owemi miejscami ukochanemi, w których spędził szczęśliwe lata młodości, dopóki go nie wyrwała zawierucha wojny wszechświatowej, a w duszy kołacze mu się iskierka nadziei, iż może ujrzy którąś z drogich mu osób. Lecz niestety! Dom uśpiony czy pusty, nikogo nie widać! Wtedy to jedną rękę kładzie na kierownicę aparatu, drugą zaś drżącą od wzruszenia, kreśli na wyrwanej z notesu kartce słowa:

„Matuchno! Ewo! Syn i brat Wasz śle Wam pozdrowienia z boju. Co się z wami dzieje?!

Wasz Stefan!“

Następnie zniżyw-zy się możliwie najniżej rzuca swój list, być może ostatni w życiu. Czy doleci do swego celu? Czy psotna fala wichru nie zaniesie go gdzieś w inne strony? Lecz teraz już czas w drogę! Więc naprzód, całą siłą naprzód, wypełnić rozkaz wodza, od którego zależy może los całej bitwy, losy życia tysięcy współbraci! I jak wystrzelony pocisk, wyleciał Boruta na swym aparacie w górę i poszybował w zawrotnych wysokościach lotem błyskawicy ku wschodowi, za pozycje wrażych nieprzyjaciół, do wojsk polskich. Udało mu się to bez przeszkody i wkrótce osiągnął swój cel, lądując lekko i sprawnie wśród radosnych okrzyków żołnierzy rodaków. Po niejakim czasie załatwiwszy dane mu polenia, był gotów do drogi powrotnej. I niebawem też odezwał się znany ogólnie metaliczny dźwięk motoru śmiałego porucznika, żegnanego od dołu hucznemi hurra! - - wiwatami. Wspaniały ptak żelazny skrył się wkrótce wysoko za chmurami i ukazując się od czasu do czasu na krótką chwilkę, niby orzeł drapieżny płynął w ciemnym obłoku, leciał wzdłuż pozycyj nieprzyjacielskich.

Na całej linji wrzała już zacięta walka. Dymy wystrzałów otaczały białą opończą ziejące piekielnym ogniem i żelastwem szańce przeciwników. Gdzieniegdzie zwarte, piesze kolumny, szybkim biegiem z bagnetem w ręku rzucały się wręcz w wir walki, by uderzyć piersią o wrażą pierś odwiecznego wroga i zwyciężyć, lub z honorem, jak na Polaków przystało, zginąć. Zażarty bój między walczącymi o wolność drogiej Ojczyzny, mścicielami klęsk krwi i hańby kajdan i jarzma niewolniczego wiekowej przeszło tyranji czerwonych carów z nad Mewy, z dzikim tłumem Azjatów przemocą i grozą kuli pędzonym do walki, toczył się z niezwykłą zaciekłością, dochodzącą do szału.

Wszystko to widział z góry Boruta i jak lew poczuwszy zapach świeżej krwi pręży się i wysuwa pazury, pożądliwemi oczyma szukając zdobyczy, tak i śmiały orzeł przestworza ostrzył swe szpony, gotując się do walki z wrogiem w powietrzu, jaką wiedział, iż stoczyć będzie musiał wkrótce. I jakby na potwierdzenie słów jego zaczęły się nagle rozpękać z hukiem w około niego szrapnele, a kule karabinowe z ostrym gwizdem przelatywały mimo jego uszu, lub odbijały się bezsilnie o opancerzoną pierś samolotu. Niebawem też poderwały się dwa samoloty z pozycyj nieprzyjacielskich i kierując się ku górze okrążały i przygotowywały się do zawziętego ataku na Borutę. Temu na widok grożącego niebezpieczeństwa przypłynęła fala świeżej stalowej energji i poczuł się godnym potomkiem swych dzielnych przodków, tych z pod Grunwaldu, Wiednia, Chocimia i Samo-Sierry.

Skierował więc momentalnie aparat ku górze i manewrował iście mistrzowskimi ruchy, nie dając samolotom przeciwnika zająć położenia ponad sobą. Lawirując tak jakiś czas wykorzystał moment, kiedy znalazł się wyżej nad jednym z aeroplanów i celnym rzutem bomby strącił go w przepaść. Oszołomionego na chwilę tym wypadkiem drugiego przeciwnika zdołał błyskawicznym rzutem zajechać z boku i ustrzelić z kulomiotu.

I odetchnął teraz swobodnie, całą piersią, widząc swych wrogów unieszkodliwionych, tysiące metrów pod sobą, a duchy ich stojące u rejestru piekieł. Pomimo to jednak, jako stary i wytrawny gracz kierował się spiesznie ku swoim pozycjom, przewidując pościg, a powtóre, że aparat jego został poważnie uszkodzony od kul nieprzyjacielskich podczas walki w przestworzu.

Ale wkrótce po klęsce rosyjskich aeroplanów, gdy rozpoznano, kto zacz jest przed

niemi, całe stado nieprzyjacielskich samolotów w liczbie sześciu, na podobieństwo czarnych kruków, wzbiło się w powietrze i przecinając odwrotną drogę Borucie, starało się zamknąć swój groźny łańcuch. I udało im się to niebawem, gdyż uszkodzony aparat dzielnego porucznika nie mógł już uciec szalonemu pościgowi ziejących zemstą wrogów i w trzy czwarte swej drogi został on formalnie ze wszech stron otoczony przez chciwe krwi stado sępów. Zaczął znowu swoje mistrzowskie manewrowanie, które jednak wobec sześciokrotnej przewagi nieprzyjaciół, nie wielkie mogło dać wyniki. Pomimo ustawicznej walki całe to koło okrutnych katów z jedną swą nieszczęśliwą ofiarą w środku, posuwało się jednak stale, chociaż bardzo wolno naprzód, zbliżając się do linji wojsk polskich. Wreszcie ogień krzyżowy samolotów rosyjskich wzrósł do tego stopnia, iż zdawało się, że jakaś tylko nadludzka siła chroni Borutę, który uwijał się jak salamandra w ogniu, wyślizgując się jednak stale, jak węgorz z sieci zjadliwych strzałów nieprzyjacielskich. Sam Boruta z twarzą przy kierownicy z ogniem w żarzących się w tej chwili źrenicach, w których się skupiły wszystkie jego władze i siły umysłowe, obserwuje z natężeniem każdy ruch swych przeciwników i odpowiednio do tego błyskawicznymi rzutami kieruje swoim aparatem, zawsze spokojny, poważny i groźny, groźbą króla i bożka tych przestworzy, groźbą lwa szalejącego wśród pustyni. Wygląda jak osobienie męstwa i wojny, jest jakby żywem wcieleniem mistycznego Marsa. Już tylko kilkaset metrów dzieli go od zbawczego terenu polskiego, jeszcze chwil kilka, a zdoła uratować drogie papiery, zawierające ważne tajemnice wojskowe, aparat, a wreszcie i siebie, zwłaszcza, że i wojsko polskie dzielnie pomaga ubóstwionemu swemu królowi pilotów, ostrzeliwując rzęsiście flotylę nieprzyjacielską.

Resztkami sił podziurawionego i ledwo utrzymującego się już samolotu postanawia Boruta rzucić się jednym ze swych mistrzowskich wielokrotnie wypróbowanym manewrem, który go wreszcie musi wydobyć z tego piekielnego błędnego koła. I rzeczywiście po kilku misternych ruchach w tą i ową stronę, podobnych do czajenia się pantery przed jej skokiem, nastąpił doskonale obliczony i wykombinowany, a z artyzmem wykonany ów skok, który że nietylko wydobył Borutę z ciasnego pierścienia nieprzyjacielskich samolotów, ale odepchnął go dość potężnie od nich, zanim przeciwnicy zdołali zrozumieć co się stało.

Zwycięski samolot poszybował nad terenem polskim i jest już ocalony.

Gdy w tem.... trzask! — i jedno ramię śmigi prysło, jak kruche szkło od pasma kul kulomiotowych, samolot zachybotał się, a straciwszy równowagę zakręcił w miejscu młynka i dzielny pilot poczuł, jak z zawrotnych wysokości spada w otchłań z szaloną szybkością, lecz w tejże samej prawie chwili uczuł piekący ból w piersiach, w okolicy serca.

I nagle pociemniało mu w oczach przez głowę przemknęła błyskawicą myśl: „Moje przeczucie!“ i ledwo zdążywszy wyszeptać pobladłemi usty słowa: „Mamo! Ewo! Ojczyzno! z myślą o Was umieram!“ — skonał, a w następnym momencie samolot jak olbrzymi bezwładny meteoryt, potężną siłą runął z hukiem na ziemię, zarywszy się w nią głęboko, grzebiąc pod swojemi szczątkami bohaterskiego młodego porucznika pilota.

— — — — — — — —

W kilka miesięcy później w cudny poranek jesienny, — przystrojony białym jedwabistym puchem babiego lata, snującego się po żółtych rzyskach i czerwienią opadających liści drzew, kiedy to cała natura przybiera wyraz cichej melancholji i pogodnego smutku a tęskna muzyka długich kluczy ciągnących żórawi — brzmi w cichem i pogodnem powietrzu, jak ostatnie pożegnanie i pieśń pogrzebowa lata — dwie postacie kobiece, w grubej żałobie, błądziły wśród szeregów prostych żołnierskich krzyży, porozrzucanych gęsto po rozległym błoniu. Jedna z nich, staruszka około sześćdziesięcioletnia, z białymi jak len włosami, z pooraną od łez twarzą i oczyma zmęczonemi, z których wyziera bezgraniczona boleść i tęsknota, wspiera się na ramieniu młodej, wiotkiej, o niezwykłej piękności dziewicy, złamanej jednak bólem i smutkiem. Doskonałe rysy cudnej twarzyczki dziewczęcia i oczy, te oczy aksamitne, przypominają nam do złudzenia twarz jakąś, kiedyś niby dobrze znajomą.

Kobiety te chodzą wolno od krzyża do krzyża i odczytują z widocznem wzruszeniem napisy, po części już nieczytelne. Nareszcie doszły do samotnego grobu, niedaleko olszyny, nad którym płacząca brzoza żałosne swe warkocze rozwiewa.

Oczy starszej kobiety, snać matki, wybiegły naprzód i zatrzymały się chwilę na wyblakłym napisie krzyża i nagle... z ust jej wyrwał się okrzyk pełen boleści: „Stefek!!!“... i z rozdzierającym jękiem padła, jak piorunem rażona, u stóp krzyża, na grób ukochanego syna-jedynaka.

Do białych ramion krzyża przybita była kartka pożółkłego i zczerniałego, przez deszcze i wiatry poszarpanego papieru, a na niej widniał ledwo już czytelny napis:

„Tu spoczywa bohater, poległy za sprawę narodową, krwią którego odkupioną została wolność zmartwychwstającej Polski, Leonidas Termopil Ojczyzny naszej:

STEFAN BORUTA-ORLIŃSKI

porucznik pilot wojsk legjonowych.

Cześć jego pamięci! Czerwiec — 1918 r.

Blade jak chusta dziewczę, z bólem graniczącym z szaleństwem w cudnych źrenicach, schyla się nad leżącą nieruchomie matką i nagle wydziera się okrzyk przeraźliwy, okrzyk śmiertelnego bólu i bezgranicznej rozpaczy z jej piersi. Pada, jak oszalała z bólu na kolana obok martwej matki, na grobie umiłowanego brata i wyciągając błagalnie w niebo ręce, woła łkając przerywanym, mdlejącym głosem: „O Boże! Ojcze miłosierny! nie pozostaw mnie samej w rozpaczy i boleści na tej smutnej ziemi! Zlituj się nademną o Stwórco świata! Zabierz i mnie do nich i do chwały Twej świętej!!!"

Kornacki K.

Grudziądz, czerwiec 1925 r.

Skarga.

Serce mi płacze i pierś ściska ból,
Bo serce tułacze tęskni do tych pól,
Gdzie tak wesoło, słodko mija czas,
Gwar ptasząt wkoło mile wita nas.
Serce mi płacze, a pierś żre tęsknota,
Bom skuty kajdanami okryty żałobą,
Ale serce tułacze i rwie się i miota,
Bo chcę być między Wami, chcę być tylko z Tobą

I ból zabija we mnie ostatki mej nadziei,
Odbiera spokój duszy i bierze cudne sny,
Z różowych moich wspomnień zabiera po kolei
Resztę uśmiechów szczęścia, pozostawiając łzy
I wżera się w me ciało zmarszczkami na mem [czole,
Zamglonym smutnym wzrokiem co w jednym [punkcie tkwi
Czyni mię obłąkanym, tu na tym łez padole,
Rozdziera biedne serce, gdzie resztka szczęścia tli.

I smutno, choć jak zwykle słoneczko jasno świeci
I choć życie wre, kipi, tak jak za dawnych lat
Mnie smutno, bom rzucony wśród wichrów [i zamieci
Bo rozszarpał mi szczęście nikczemny los [mój — kat.
Zabrał mi wszystko moje i popchnął w wal- [kę nową
Bym walczył z podłem życiem z pokorą [i bez jęku
Odebrał jednak puklerz, odebrał moc duchową
Zostawił mię samego, bez żadnej broni w ręku.

Ironjo! Co się pastwisz nad życia mego dolą
Ironjo! Co mi mówisz, żem szczęśliw, że mam żyć
Ironjo! Coś zakpiła z mych ran, które tak bolą
Ironjo! Czy ty nie wiesz, że pękła szczęścia nić?
Że zerwane już struny, co niosły hymn radosny
Że dzisiaj cudne kwiaty, tuli zimny śnieg,
Że minęły na zawsze dni szczęścia i dni wiosny,
Że przerwany na wieki mojego życia ścieg.

S. Zalewski.

KOLEJNOŚĆ ARTYKUŁÓW.


EX LIBRIS
BOLESŁAW SZCZUKA
B.
SZ.